



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Doświadczenie fizyczne.

Zwyczajną laskę lub kijek równy i lekki wtyka się końcem w duży, okrągły kartofel, i to dość mocno, ażeby się dobrze trzymał. Potem podniesioną laską wywija się w powietrzu szybko, kręcąc ją w kółko, i po chwili, wśród najszybszego obrotu, nagle się ją zatrzymuje. Laska powinna być

zwrócona prosto w górę, wyrzucony z niej kartofel leci też w górę bardzo wysoko. Jest to skutek siły odśrodkowej, która w przestworach niebieskich światy popycha w przestrzeń. W skutek szybkiego obrotu wirowego, ciało dąży do oderwania się od swego środka ciężkości i to się nazywa siłą odśrodkową. W systemacie słonecznym, słońce wszystkie planety przyciąga do siebie, pospadałyby więc na nie, gdyby nie ruch wirowy, ten wytwarza w planetach siłę odśrodkową, utrzymującą je w odaleniu od słońca. Toż samo prawo mechaniki rządzi i tym kartoflem, wypadającym z laski, jak z procy.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Skały piaskowe słynne ze swoich kształtów dziwacznych, wznoszą się na wszystkie strony, jakby świat cały przeistoczył się nagle w te skały, najeżone złomami potrzaskanych gładzi, nakryte ciemnymi bukowemi lasy, pełne bezdennych jaskiń. Huczy szum wodospadów głuchy a potężny, konary drzew olbrzymich, wiekowym mchem obrosłych, szumią ponuro. Poniżej wieczna ciemność, cisza, stęchła woń zgnilizny i chłód przejmujący; tu i owdzie piorunem rozdarte lub wichrem strzaskane drzewo leży bez duszy, lub zawisło uplątane w bratnich konarach i wisi tak Bóg wie odkąd ponad przepaścią. W puszczech prócz wilków, dzików, sarn zajęcy i ptactwa, przebywa niedźwiedź, dopóki nie zaśnie na parę miesięcy w jednej z okolicznych głębokich jaskiń. W ogóle niedźwie-

dzie, a zwłaszcza niedźwiedzice, muszą lubić wygodę, czy też może chłód i półcień panujący w tem ustroniu, usposabia je do snu, dosyć że jedna z nich wypawszy się przecież dostatecznie w zimie, jeszcze i teraz spała snadź długo w dzień i dopiero co przebudziwszy się, wychodzi ziewając ze swéj sypialni. Stanąwszy w otworze jaskini rozgląda się, węszy, nareszcie pomrukuje zlekka; na to hasło wybiegają z głębi jaskini dwa małe niedźwiadki, targając się prztem wzajem za uszy, i jeden większy, tak zwany *piastun*. Wiadomo jest że niedźwiedzica zatrzymuje częstokroć przy swym boku starsze potomstwo, aby jój pomagało wychowywać młodsze. Zatem i teraz, gdy matka zajęta jest wyraźnie kierunkiem i bezpieczeństwem drogi w jaką się udaje, dwaj malcy czubią się bezustannie dając za nią, przewracają się, mocują, biorąc wzajem przednimi łapami za szyję lub ramiona, zupełnie jak swawolnic chłopcy. Piastun znudzony, niewyspany, ziewający, pilnuje jednak obowiązku, przenosi malców przez napotkane strumyki, przepaście i powywracane kłody, tak troskliwie, że nie tylko nie jedna piastunka prawdziwa wśród ludzi mogłaby w niego brać przykład, ale nawet braciszek lub siostrzyczka starsi, czuwający niekiedy nad młodszymi, mogliby cierpliwości od niego się nauczyć. Nadeszli nad sporą rozpadlinę, piastun przenosi w zębach jednego malca, a drugi tymczasem pozostawiony na krawędzi zaczyna ze strachu jęczyć mrukliwie, dopóki po niego nie wróca. To znowu ze swawoli jeden za drugim, wdrapują się na kark piastunowi i chcą tak konno podróżować, odgryzając mu jednocześnie uszy; teraz on biedak jęczy ale dźwiga, oni tymczasem zaczynają spychać się wzajem, bo dwom za ciasno, aż spadają oba na ziemię i znowu jęczą płaczkliwie; i piastun ciężko wdycha bo ma biedę z tymi swawolnikami. Ale pani matce braknie nareszcie cierpliwości, już ona nieraz odwracała się, pokazując zęby małym, dla ich poskromienia, teraz zawraca ku nim i bije, po prostu bije łapą raz, dwa, trzy... Musi nawet umieć rachować, bo jednakowo zupełnie rozdziela tę karę doraźną... Tak uważali przynajmniej kilku młodych ludzi, po większej części wojskowych, którzy siedząc i leżąc ukryci za skałą, biwakowali tam, przyglądając się ciekawie, przechodzącej mimo nich w pobliżu niedźwiedziej rodziny. Bo też powaga samej niedźwiedzicy, znużenie i znudzenie obciążonego dziwnymi jak na zwierzę obowiązkami, piastuna i ruchy malców, najzupełniej podobnych do małych chłopaków, gdy mocowali się ujmując za ramiona, były istotnie zabawne.

— Dziesięć! wyliczyła każdemu po dziesięć! umie rachować! doprawdy umie! — szepłali pokładając się ze śmiechu panowie.

— A co? Albo nie powiadałem panom że nasz niedźwiedź, to nie ze wszystkim zwierzę?... — rzekł z wyraźnym tryumfem ośmastoletni góral miejscowy.

— No, a tylko co, jeżeli nie zwierzę? — zapytał młody oficer.

— Hm... już ci chyba... sąsiad! — odpowiedziano. Panowie śmiali się do łez.

— Patrzcie, patrzcie! — szepnął ktoś nagle. W istocie było na co patrzeć. Niedźwiedzica węsząc naokoło, dopatrzyła barci z miodem w wypróchniałem drzewie wysoko, nastąpiło niewymownie dziwne porozumienie pomiędzy nią i jój najstarszym potomkiem: wyraźnie chciała wyrećzyć się, i stało się według jój woli. Piastun polazł w górę i wsunął łapę w wypróchniałe drzewo... Rój pszczół zahuczał gwałtownie i wyległ tłumem gęstym obsiadając napastnika: kłody, huczwały, a on najspokojniej, z zimną krwią wydierał ogromne plastry złotego miodu i rzucał nadół, gdzie pochłaniały je matusia i rodzeństwo jego. Straszliwe żądła pszczół rozżłoszczonych, bezsilne były wobec jego grubego futra i grubiej pod niem skóry... Nakoniec najadł się sam i zsunął z drzewa, oblizując łapy z filozoficznym spokojem. Ukończono smaczne śniadanie. Ale w tejsze właśnie chwili niedźwiedzica, węsząc ciągle, lecz ludziona dotąd wiatrem przeciwnym, nagle za jednym tegoż wiatru w jój stronę powiewem zadrżała, wydając mruk głuchy, przeciągły do ryku podobny. W mgnieniu oka na to hasło, wszystko troje młodych zgromadziło się za nią, chroniąc się jakby za wał ochronny, ona jednocześnie jednym zamachem wyłamawszy młodą drzewinę i obróciwszy ją w górę ko-

zaniem jak pałkę, wzięła na ramię jak karabin i stanęła na dwóch łapach, gotowa do boju...

— Oho!... zwęszyła nas! — szepnął góral — opatrzyć broń! — i opatrywał swój toporek...

— E... przecież nie będziemy strzelać do takich zabawnych mądrych stworzeń! — rzekł z żalem drugi oficer gdy niedźwiedzica postąpiła ku niemu.

— Hm, ja nie... bo mam toporek — mruknął góral nie rozumiejąc go — ale panowie...

— Ależ zrobmy lepiej na lewo zwrót, zamiast zabijać takie nieszkodliwe zwierzę — upierał się oficer. Niedźwiedzica postępowała ciągle, z oczu nie spuszczać ludzi.

— Baczność!... albo śmierć!... odwrót zamykają nam skały: stać w miejscu! opatrzyć broń! — zawołał bardzo młody, najmłodszy z całego towarzystwa prosty żołnierz, biorąc niedźwiedzica na cel.

— Co to ma znaczyć? komenda?... Czy żartujesz panie Petöfi?... — zapytał młodziutki lecc wyższej rangi oficer, z tym uśmiechem znaczącym i naciskiem, którym wyższość umie dać do zrozumienia niższemu do którego zniżać się raczy, iż się zapomniał...

Szandor Petöfi opuścił broń.

— Niedźwiedź nie napastowany nie rzuca się na ludzi... — objaśnił drugi oficer — spoglądając z uśmiechem na żołnierza.

— Gdyby się nie spodziewała, skończyłbym z nią od razu toporkiem, ale kiedy nas już widzi, może być źle — mruczał góral podnosząc toporek do ciosu, ukryty za skałą, koło której szła niedźwiedzica. Niedźwiedzica postąpiła jeszcze krok jeden i w chwili gdy już zrównać się miała z węglem skały, z poza której miał spaść na nią toporek góralski, nagle, ruchem nie mającym nic wspólnego z instynktem, wystawiła przed się na wysokości własnej głowy, rosohatą korzeniami w górę obróconą swą zaimprovizowaną pałkę: toporek góralski spadł na nią:

— Ot mądra! — mruknął góral, ale nie dokończył wyrazu, uczył cios olbrzymią pięścią w głowę i usłyszał huk wystrzału, a prawie jednocześnie młodszy z dwóch oficerów padł, w chwili gdy naciskał cyngiel, pod gradem szybkich jak bicie w bęben uderzeń w głowę, kilka wystrzałów zagrzmiało wtedy razem. Niedźwiedzica już leżała tarzając się z bólu.

— O!... szkoda! — zawołał oficer zrywając się z ziemi i wraz z towarzyszymi chciał się zbliżyć do zwierzęcia, rwącego pazurami mech i krzewy naokoło siebie.

— Baczność! — zawołał jeszcze raz komenderując żołnierz Petöfi. Piastun, młody ale rosły niedźwiadek, szybko wyłamawszy także pałkę w gąszczach i młynkując nią z niepospolitą wprawą, szedł już na dwóch łapach, prosto przeciw ludziom. Nikt nie miał teraz broni nabitęj. Nie było ani chwili do stracenia.

— Nabijać broń! — zakomenderował żołnierz oficerom, postępując krokiem naprzód, tak, że znalazł się z długim jedy-nie nożem w ręce pomiędzy nimi i strasznym w tej chwili piastunem: zwierzę wyraźnie rozumiało co stało się z jego matką, rozpacz pałała mu z dzikich oczu. Chwila jeszcze a młyniec roztrzaskałby ludzką głowę, gdy Szandor zawsze drobny a zwinny padł jak długi na ziemię, unikając w ten sposób młynca, a potem jednym sprężystym skokiem poderwawszy się z ziemi, znalazł się poza niedźwiedziem, i nagłym zwrotem wbił mu nóż w plecy aż po rękojeść. Nieszczęsny piastun zachwiał się, i szeroką łapę przednią do piersi z jękiem przycisnął, zaprzestając swojego młynca; uderzenie toporkiem w czaszkę z rąk górala dokonało reszty. Rozciągnął się młody niedźwiedź zwolna na ziemi, chwytając próżnię łapami w około, jak drzewo nagle podcięte, chwytając konarami co dosięgnąć może.

Cała ta leśna tragedia, rozegrana w ciągu kilkunastu sekund, uszła w większej połowie uwagi małych niedźwiadków, które swawoląc, wydierały sobie plastry miodu; dopiero ostatni gromadny wystrzał zwrócił ich uwagę. Ale i ten zdziwił je raczej niż przestraszył, nigdy w życiu jeszcze nie słysza-

ły wystrzałów, nie widziały ludzi. Nagle spostrzegłszy matkę rozciągniętą na mechu, poskoczyły ku niej, szarpiać za łapy i kudły ze swawoli, ale w tejże chwili dwa jeden po drugim celne ciosy toporka z ręki górala, rozciągnęły je koło niej.

— No, ale wszystkie trzy nasze strzały musiały dostać biedaczka! — zawołał jeden z oficerów, którzy dopiero zdążywszy nabić broń, poskoczyli oglądać niedźwiedzicę.

— Pańskie strzały? — z filuterną ironią powtórzył góral — a oto jest jeden... a tam drugi... a tu trzeci — i wskazał własne ramię lekko draśnięte i dwie kule uwięzione w drzewach najbliższych.

(d. c. n.)

Starożytny narodowy taniec indyjski.

Podróżnicy, opisujący zabawy dzikich ludów, wspominają najczęściej tylko o ich tańcu wojennym; są przecież i inne miłsze tańce, używane pomiędzy nimi. Tak np. w północnych krainach Peru, Indianie mają bardzo starożytny, narodowy swój taniec, któremu oddają się zapamiętale w dnie uroczyste zwłaszcza. Tancerz przystrojony w rodzaj wysokiej korony ze świetnych różnobarwnych piór papuzich, mając nogi pookręcane kwiecistemi i zielonemi gałązkami, z pałeczką lub długiem i barwnem piórem w ręce, którem znaczy takt jak jaki dyrektor orkiestry, tańczy przy odgłosie bębena i piszczałki, towarzysząc im śpiewem częstokroć. Poruszenia tańczącego nie są bez wdzięku, a melodia pieśni i wyraz twarzy zazwyczaj smętny trochę, mają pewien odcień poetycznej zadumy. Treścią pieśni bywa najczęściej idealizowanie swobody ptasiej i rozkoszy jakiej używają kwiaty, w blaskach słonecznych rozkwitające.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska



powiedz nam co mistrzu o mieście w którym tę książkę wydrukowano — prosiła Jagódka — czy ładne?

— Nazywają je cudzoziemcy „miastem pałaców”.

— O, to piękne być musi! A czy widziałeś autorkę która to pisała?

Milczałem czas jakiś, zanim zdobyłem się na odpowiedź, chwila bowiem stanowcza nadeszła.

— Autorka tej książki już nie żyje — odpowiedziałem. — Umarła rok

temu o tej porze, gdy ciepłe technienie wiosny budziło wszystko do życia *). Była wątła ciałem ale silna duchem; miała rozum mędrca a tak mało rozumiała o sobie, jak najskromniejszy prostaczek. Siłę woli posiadała mężką a serce prawdziwie niewieście, bardzo tkliwe i kochające... Była szlachetną, dzielną niewiastą, wiele wycierpiała, pracowała bez wytchnienia i umarła prawie z piórem w ręku, jak żołnierz na posterunku.

— Musiałeś ją chyba znać mistrzu, kiedy mówisz o niej z takim zapalem — rzekła szczególnym tonem Perelka.

Spostrzegłem że królewicze wiodący dotąd z sobą przyciszoną rozmowę, zaczęli się bacznie przysłuchiwać. W oczach Pióropuszką dojrzałem cień podejrzenia, a Kryszałek wpatrywał się we mnie swemi szaremi oczyma ze szczególną bystrością, jakby mnie chciał na wskroś przeniknąć.

— Słyszałem o niej od takich co ją znali — odrzekłem, wytrzymując spokojnie to spojrzenie.

— Powiedz nam jeszcze co o niej mistrzu — prosiła Iskierka.

— Życie całe poświęcała rozwijaniu unysłów dziecinnych w swoim kraju — mówiłem dalej — pisała dla młodzieży książki, przewodniczyła pismu wyłącznie dla dzieci wydawanemu, pod tytułem Wieczory Rodzinne. Opowiadała dzieciom o Bogu, o enocie, o cudach przyrody, a że miała wiedzę gruntowną i kochała minerały jak królewicz Kryszałek, zwierzęta jak królewicz Pióropuszek, i rośliny jak królewicz Zielonko, więc pod wpływem jej czarodziejskiego słowa, cały ten świat żył, mówił, czuł, a dzieci słuchały zachwycone.

— Imię jej, imię! — zawołałi razem wszyscy trzej królewicze, a na ich twarzach odmalował się podziw i uwielbienie.

— Jest na pierwszej stronie książki: nazywała się Marya Julia Zaleska, ale u tego małego świata dla którego żyła, znana była pod nazwą „kochanej”. Zgon jej okrył żałobą wszystkie dzieci tym samym co ona mówiące językiem, bo od chwili gdy jej zabrakło, nikt nie potrafił tak jak ona mówić o minerałach, roślinach i zwierzętach.

— Biedne dzieci! — westchnęła Iskierka, spoglądając z czułością na swego synka, który usnął na moich piersiach.

— Tak, biedne dzieci... to też Redakcyja Wieczorów Rodziny ciężko jest zmartwiona, bo chciałaby dogodzić dzieciom, do których przywiązały ją długoletnie z nimi stosunki.

Królewicze z prawdziwym słuchali zajęciem. Widziałem że współczują troskom Redakcyi, choć żadnego środka na to nie widzą — odchrząknąwszy więc rzekłem.

— Znam jednak takich którzyby zmarła po części zastąpić mogli, o tyle przynajmniej, o ile to trzech królestw przyrody dotyczy, którzy tak jak ona mogliby opowiadać o ukochanych przez siebie przedmiotach: królewicz Kryszałek o minerałach, królewicz Pióropuszek o zwierzętach, królewicz Zielonko o roślinach i wyraziłem nawet myśl moją Redakcyi tego pisma. Więcej nawet, podjąłem się przedstawić wam Miłośniwi królewicze, prośbą osieroconej Redakcyi, abyście raczyli zostać korespondentami Wieczorów Rodziny, każdy ze swego królestwa.

Królewicze patrzyli na mnie jak na waryata.

— Co! — zawołał najwięcej porywczy ze wszystkich Pióropuszek — my korespondentami cudzoziemskiego pisma i to jeszcze pisma dla dzieci? Żartujesz chyba mistrzu!

I wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Kryszałkowi i Zielonce także propozycya ta wydała się zabawną, śmieli się oba, a nawet żony ich wszystkie trzy śmiały się także.

— Nie pozwoliłbym sobie nigdy takich żartów z wami, Miłośniwi królewicze — odpowiedziałem. — W propozycyi jaką wam tu w imieniu Redakcyi tego pisma przedstawiam, nie widzę nic śmiesznego ani ubliżającego waszej królewskiej godności. Władanie piórem jest równie zaszczytne jak władanie orężem, a sława na polu literatury zdobyta, bywa czasem trwalszą od zdobytej na polu bitwy.

— To prawda — potwierdziła Iskierka.

— Mógłbym wam wyliczyć długi szereg imion królewskich, zajmujących się literaturą w dawnych czasach, ale poprzestaną w współczesnych: Syn słońca, a brat księżycy *), szach perski, napisał i wydał „Pamiętniki” swęj podróży po Europie. Pisała też „Pamiętniki” królowa Wiktoryja, choć do tytułu władczyni Wielkiej Brytanii, przyłączyła tytuł cesarzo-

*) Dnia 9 Kwietnia r. z.

*) Są to tytuły urzędowe władcy perskiego.

wój indyjski. Zmarły nagle w roku zeszłym dziedzic austriackiego tronu, pracował nad olbrzymim dziełem opisującym wszystkie kraje tej monarchii, a królowa rumuńska Eżbieta, pod imieniem Carmen Sylwy, pisze poezye, nowelle i powieści. Nieżyjący już cesarz francuzki Napoleon III-ci, napisał „Życie Juliusza Cezara”, a Karol XV-ty poprzednik panującego obecnie monarchy szwedzkiego, pisywał poezye mające wielką popularność w jego państwie.

— Mistrz ma słuszność — wtrąciła Perełka, spoglądając na braci.

— Monarchowie i książęta których imiona wymieniłeś mistrzu, pisali dla dorosłych — przemówił Kryształek — a ty nam każesz dzieci bawić, czyli poprostu chcesz porobić nas niańkami.

— Wieczory Rodzinne są pismem nietylko dla dzieci ale i dla młodzieży — odpowiedziałem, a czytają je nawet i starsi. Wymienieni przezemnie książęta pisali dla dojrzałych osób, bo nie umieliby może pisać dla dzieci. Być zrozumiiałym dla starszych, każdy potrafi kto wprawnie piórem włada, ale dać zrozumieć dzieciom rzeczy trudne do zrozumienia, nie jest tak łatwo. Niedosć jest umieć jak czarodziej, zdejmować gwiazdy z nieba, pokazywać je zblizka i tłumaczyć wieczne prawa jakim muszą być posłuszne; niedosć rozumieć mowę piorunów i błyskawic i zstępując w głębie ziemi, wydobywać z tamtąd na wierzch umiejętną ręką jej skarby; niedosć jest odkrywać niewidzialne światy, i znać tajemnice życia roślin i zwierząt. Żeby trafić do serc i umysłów dzieciennych, trzeba koniecznie kochać swój przedmiot, bo tylko miłość otwiera bez klucza zamknięte przybytki. Każdy z was Miłościwi królewicze, kocha nade wszystko swoje królestwo, potrafi więc wpuszczać promienie światła do dzieciennych główek, jeżeli tylko zechce. Propozycję moją przeto, raczcie uważać jako hołd oddany waszemu rozumowi i waszemu sercu. Nie odrzucajcie jej, pomnijcie że sam król królów nie odpychał dzieci, ale przygarbiał, mówiąc: „Pozwólcie maluczkiemu przyjść do mnie”.

— Mówisz przekonywająco mistrzu, ale jakże tu pisać dla młodzieży której nie znamy, która nas nie zna wcale? — rzekł Kryształek.

— Wy ich nie znacie to prawda, ale one was znają. Powieść którą wam jako gościniec przywiozłem, była wprzód drukowaną w Wieczorach Rodzinnych, zanim wyszła w oddzielnej książce. Młodzi czytelnicy powitają was jako dawnych, dobrych znajomych.

Pióropuszek poczerwieniiał.

— Tego tylko brakuje — zawołał — żebyśmy wystawiali się na pośmiewisko dzieci, które wiedziały o naszej niezgodzie! Nie, nigdy!

— Przytem — dodał chmurnie Kryształek — być korespondentem pisma niewidzianego nigdy na oczy, to także co najmniej dziwne.

— Jeżeli o to idzie — odpowiedziałem sięgając do kieszeni — to trudność usunięta.

I podałem najstarszemu królewiczowi kilka arkuszy, położywszy na wierzchu numer z portretem autorki *Niezgodnych królewiczów*. Kryształek długo mu się przyglądał, poczem oddał bratu: szlachetna, rozumna twarz, musiała zrobić na nich

pewne wrażenie, bo przyglądali jej się i podawali sobie kolejno milcząc. Zdało się jakby cień zmarłej przesunął się przez komnatę i zniknął, tak poważne i uroczyste jakieś opanowało wszystkich usposobienie. Przerwał je książę Szafir, który się w tej chwili obudził, i wyciągając rączki do obrazków, zawołał:

— Daj! daj!

— Syn twój królewiczu — powiedziałem — rwie się do tego pisma. Gdy podrośnie trochę, będzie mógł czytać co ojciec napisze.

— Ciocia Jagódka nauczy go tego języka, albo też mu będzie na atlantyjski tłumaczyć — rzekła uśmiechając się Iskierka, i podała synowi rycinę przedstawiającą cztery kotki przy misce mleka.

— Kizia, kizia, ci ci ci! — wołał książę, trzepocząc rączkami radośnie, ale ojciec jego rzekł dość chłodno.

— Będziemy mu mogli Wieczory zaprenumerować. Co do współpracownictwa, to nie mamy na nie czasu. Sprawy państwa całkowicie nas pochłaniają.

— Tak jest — powtórzył Pióropuszek — nic z tego projektu! Nie mamy czasu.

Jeden tylko Zielonko nic nie mówił, lecz milcząc zamyślony. Zwróciłem się do niego.

— Królewiczu prosiłem — ty przynajmniej mi nie odmawiaj. Wiosna wielkimi krokami zbliża się do kraju którego jestem posłem: wkrótce drzewa pokryją się pączkami, zakwitną łąki i ogrody, a gromady dzieci wysypią się aby je zbierać. Nie powieszże tej gromadce, jak się który nazywa, jak żyje i oddycha, dla czego takie a nie inne zdobią go barwy? Korespondencya z królestwa roślin jest pilniejszą obecnie, niż z królestwa zwierząt i minerałów.

— O tak! — zawołał Zielonko z zapalem — bo też rośliny są najcudowniejszymi tworamii Bożemi i najwierniejszymi przyjaciółmi człowieka! One mu towarzyszą od kolebki aż do grobu. Dziecko jeszcze mówić nie umie, a już wyciąga ręce do barwnych kwiatów; w miarę jak wzrasta, kwiaty zdobią go w najuroczystszych chwilach życia. Kwiaty rozweselają

mieszkanie człowieka, do kwiatów uśmiecha się starzec, tęskni za nimi więzień, a chory na ich widok zapomina na chwilę o cierpieniu. Kwiaty nakoniec zstępują z nami do grobu, gdy nas już wszyscy opuścili... I powiedz mi mistrzu, czy jest co na świecie cudowniejszego, jak roślina? Nikt jej nie uczył gospodarstwa, a delikatne korzonki umieją w ziemi wynaleźć pokarmy mineralne, potrzebne do utrzymania bytu i wyżywienia potomstwa. Pije tylko wilgoć i powietrze, a daje ludziom owoce i tysiączne pokarmy. Sama z małego rodzi się ziarneczka, a wyrasta w potężne drzewo i konarami swemi daje ludziom cień i ochłodę. Sama rośnie bez osłony, a daje ludziom drzewo na domostwa, sama grzeje się tylko w słońcu a rozpala ludziom potężne ogniska, topiące nawet metale.

Głos mówiącego drgał wzruszeniem gdy to mówił, a błękitne jego oczy lekko zwilgotniały; jaśniała w nich wdzięczność i cześć dla Stwórcy.

— Uważasz zatem bracie, że wiadomości z królestwa zwierząt są nie tak pilne — odezwał się podrażniony nieco Pióropuszek — dla czego? Alboż zwierzęta są mniej cudownym tworem Stwórcy, w potężnym państwie przyrody? Chwalisz piękność roślin, a jakaż roślina dorównać może wspaniało-



Starożytny narodowy taniec indyjski.

ści lwa, potężnego króla pustyni, od którego ryku drży puszcza, albo piękności czarnej, monarchy ptaków? Rośliny uwięzione w ziemi, muszą jak niewolnice stać wiecznie na jednym i tym samym miejscu, a rybka pruje wodne głębiny wesoło, a ptak swobodnie wzbija się w obłoki, i buja sobie, szczęśliwy! A motyle, te kwiaty latające, czy nie jaśnieją barwami tęczy, czy nie błyszczą blaskami drogich kamieni? Mówisz bracie o pożyteczności roślin... a co człowiek zrobiłby bez zwierząt? Ktoby mu w pracy pomagał, jak koń i wół? Ktoby mu był wiernym stróżem i przyjacielem, jak pies? Ktoby mu dał podstawę pożywienia? Na twoich roślinach i owocach, ludzieby pochudli i osłabli. Na nic się nie zdadzą rośliny, jeżeli nie będzie zwierząt!

— Dla czego chcecie koniecznie roślinom lub zwierzętom dać pierwszeństwo — przemówił głosem poważnym Kryształek? — Mojem zdaniem, nie ma nic ważniejszego nad

nych na dobrą jest drodze. Nie będę więc nalegał, tylko zostawię rzeczy własnemu ich biegowi, bo mógłbym zbyt pośpiechem wszystko popsuć. Rzuciłem ziarna: niech sobie powoli kielkują. Udając więc pozornie zrezygnowanego i zmartwionego, rzekłem:

— Smucę się, Miłościwi królewicze, że tak pięknie umiając mówić o roślinach, zwierzętach i minerałach, pisać jednak o nich nie chcecie. Ale trudno, skoro odmawiacie, nie śmiem nalegać więcej, choć przykro mi, że poselstwo którego się podjąłem i którego powodzenia prawie pewny byłem, spełzło na niczem.

Nikt nie odpowiedział. Zmrok zapadł tymczasem, książę Szafir przyciskając do serca obrazki, spał w najlepsze na moich kolanach. Nogi mi już ścierpły od siedzenia ciągle w jednej pozycji i potrzebowałem je wyprostować. Wstałem ostrożnie, złożyłem chłopca delikatnie na rękach matki i zbliżyłem



Antwerpia, katedra i pomnik Rubensa.

minerały i dla tego od nich należy zaczynać naukę o prawach przyrody. Minerale są podstawą wszelkiej egzystencji na ziemi, bo drobne ziarneczka piasku nie są czem innym tylko maleńkimi kryształkami kwarcu. Zoologia i botanika budują cały świat żywy z jednakowych materii pierwotnych, ale mineralogia rozłupuje skały na cieńsze od papieru listki, stanowiące najstarsze kroniki naszej ziemi, w których kryształowemi literami z przed tysięcy lat zapisano wieści o stworzeniu świata i wzroście gór. Powiedz sam mistrzu, czy nawet w twojej ojczyźnie na Wschodzie słyssałeś kiedy baśń piękniejszą, więcej zadziwiająca, cudowniejszą, nad tę którą odczyta każdy kto pozna kryształowy alfabet?

Ogień, prawdziwy ogień szlachetnego zapachu błyszczał w oczach Kryształka, gdy to mówił, ja zaś zacierałem ręce z radości, myśląc:

— Skoro królewicze sprzeczną się z sobą, który pierwszy pisać powinien, to już sprawa Wieczorów Rodzin-

się do okna. Księżyc świecił: przy jego blasku widać było morze dalekie, nieskończone, i ciemne szeregi nadbrzeżnych skał; na horyzoncie wśród mnóstwa niezliczonego iskrzących gwiazd, jaśniała wspaniała droga mleczna. A choć ten obraz niczem nie był podobny do tego, co w waszym kraju widziałem, stanął mi jednak żywo przed oczyma duszy: blade koloryt jego nieba, krzyże stojące po drogach i miasto pałaców rozciągające się na wzgórzu, po obu brzegach wielkiej, wspaniałej rzeki, przez którą wiedzie most żelazny.

— A ty kochany mistrzu o czem pisać będziesz? — spytała królewiczowa Iskierka, stając przy mnie z uspiętym sykiem na rękę, a idąc za kierunkiem mego wzroku, dodała. Wiem już wiem, będziesz pisał o gwiazdach.

— Mistrzu — szepnęła Jagódka dotykając mego ramienia i zaglądając mi w oczy ciekawie — ja widzę, że myśl twoja znajduje się w tej chwili zdaleka od naszej wyspy. Jest ona pewnie w kraju o którym nam opowiadałeś. Musi cię on bar-

dzo obchodzić, skoro tak gorąco przemawiałeś za jego dziećmi. Zostawiłeś tam cząstkę twego serca, nieprawdaż?

I nie czekając odpowiedzi zaśpiewała pieśń, której pewnie nauczyła ją ów człowiek wyrzucony przez burzę na brzegi wyspy.

Znaszli ten kraj, gdzie ziemia w plon bogata,
Za wielki śpichrz służyła ludziom świata?
Gdzie dęby puszczy przez morskich wód odmetry,
Jak wodze szły braterskie wieść okręty?
Znaszli ten kraj, gdzie bory pełne zwierza,
Tę ziemię burz, gdzie grom na grom uderza?
Znaszli ten kraj?

Znaszli ten kraj, gdzie słońce świeci blade,
Lecz drzewa sadów owoc na ziemi kładą,
Rumiane jabłka, grusze słodkie soczyste,
A łany zbóż kokyszą się złociste?
Gdzie pieśni ton, pracy osładza trud,
Gdzie bohaterski i mężny mieszka lud?
Znaszli ten kraj?

Kończę już ten list, żałując że nic stanowczego Szanownej Redakcyi donieść jeszcze nie mogę, ale nie będę go dłużej wstrzymywał, bo chcę was uspokoić, że sprawę Wieczorów Rodzinnych mam na sercu. Jak tylko zajdzie coś nowego, natychmiast wam doniosę.

Marszałek dworu w tej chwili przybył mnie zawiadomić, że nadszedł transport gołębi pocztowych, które z waszej Redakcyi zabrałem. To dobrze, list pójdzie prędkiej — że jednak jest trochę za ciężki, więc każę nadwornemu fotografowi zrobić z niego odbitkę w zmniejszonym formacie i na bardzo cienkim papierze. Tymczasem skrzydlaty nasz listonosz do jutra wypocznie; kazałem go obficie nakarmić. Będziecie mieli trochę kłopotu nie mogąc listu odczytać inaczej jak przez drobnowidz.

Abrakadabrus.

Redakcyja Wieczorów Rodzinnych do Abrakadabrusa.

Warszawa dn. 5-go Kwietnia 1890 r.

Dostojny Mistrzu. Nie mamy dość słów na wyrażenie wdzięczności za pamięć o nas i za życzliwość Dostojności Waszej dla naszych czytelników. Nie marzyliśmy nigdy o królewskich korespondentach, ale jeżeli się uda ich pozyskać, będzie to dla nas bardzo zaszczytne i korzystne. Prawdziwie jednak czuć się będziemy szczęśliwi, jeżeli Wasza Dostojność pozwoli nam siebie samego do grona korespondentów zaliczyć, i zechce czasem powiedzieć coś dzieciom naszym o gwiazdach. Prośbę tę zanosimy z nieśmiałością, ale i z nadzieją, że odrzuconą nie będzie.

Redakcyja.

Antwerpia, katedra i pomnik Rubensa.

Antwerpia jest głównem miastem belgijskiej prowincyi tegoż nazwiska, leżącej pomiędzy północnym i południowym Brabantem. Jest to doskonały port na prawym brzegu rzeki Skaldy umieszczony, główny skład broni i znakomita cytadela. Wiele wspaniałych budowli ozdabia to starożytne siedlisko handlu, sztuk i nauk. Między innymi sławną katedrą N. Panny z wieżą wysoką na 370 stóp, pełną wspaniałych rzeźb i malowideł: oraz pomnik Rubensowi wystawiony.

Antwerpia ma akademję nauk, akademję rzeźby i malarstwa; szkołę medyczno-chirurgiczną, szkołę morską, arsenał morski, muzeum, mnóstwo fabryk, zakładów przemysłowych, warsztaty okrętów i t. d.. Sławne, bogate, potężne to miasto istniało już w VIII wieku, a później prowadziło tak wielki handel że przewyższało pod tym względem nawet słynny Amsterdam. Wojny przeróżne, straszne oblężenia

i bombardowania przyprowadziły je do upadku, ale od r. 1815 odkąd Belgia z Holandją zjednoczone zostały, podnosi się szybko na nowo.

Piotr Paweł Rubens znakomity malarz niderlandzki, którego pomnik śpiżowy widzicie na rycinie naszej, jakkolwiek urodził się w Siegen w Nassauskiem r. 1577, był mieszkańcem Antwerpii. Z powodu wojny między Hiszpanią i Niderlandami, ojciec jego rajca miejski w Antwerpii, musiał schronić się do Kolonii, ale po jego śmierci wdowa z dziećmi wróciła do rodzinnego miasta. Tu, Rubens ukończywszy przedewszystkiem chlubnie szkoły, uczył się malarstwa, poświęcając przytem każdą chwilę odpoczynku, wśród studyów nad ulubioną sztuką, gruntownej dalszej nauce, zgłębianiu dzieł znakomitych. To też oprócz obrazów, których wiele jest rozproszonych po świecie, a w samej Antwerpii dużo się znajduje, dokonał on ważnych prac innych, mających dobro ogółu na celu. Uczony i zręczny dyplomata, z woli monarchów urządził stosunki państw, jeżdżąc w tych celach do Anglii i Hiszpanii, wszędzie zyskując powodzenie, osobistą przyjaźń królów i wdzięczność ogółu.

POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Przededniem jednakże zerwał się Tomek; gorąco było nieznośne, powietrze zdawało się płomieniem przejęte.

— Pewno będzie straszna burza! — pomyślał chłopiec i obudził wuja, udzielając mu swoich spostrzeżeń.

— Masz słuszość, trzeba jechać natychmiast — rzekł Melchior. Niebo zasłonięte było grubą mgłą szarą, która zdawała się pochodzić z wulkanicznych popiołów.

— Tak, ma się na burzę, tam na szczytach — rzekł sierżant, zbudziwszy się z kolei. Słyszałem pioruny w nocy. Odgłos pochodził z doliny tej, pomiędzy tym oto gór łańcuchem i tamtym, gdzie byliśmy dziś rano. Trzeba się śpieszyć, bo słota dogoni nas może.

W chwilę, zwinęto namiot, Czarnula obładowano, i ruszono w drogę. Nie widać było błyskawic; ale gdy schodzono z gór, pioruny zaczęły huczeć jak odległa artylerya, którą echa powtarzały bez końca. Chwilami, odgłosy te podobne były do potężnych jęków ludzkich, kiedy indziej znów do mnóstwa kręgli padających na podłogę. Szczęściem, droga była dosyć prosta i wędrowcy postępowali mniej więcej po pięć mil angielskich na godzinę. Niezadługo ujrzeli klasztor wznoszący się w dolinie pośród gromady topoli i platanów. Burza groziła coraz bliżej, schronienie stawało się coraz pożądanejszem. O milkę odległości od klasztoru spotkano potok. Melchior copędzając dał pić mułowi spragnionemu bardzo.

— Możeby tu dobrze było wykapać się? tak jest gorąco... — rzekł Menito.

— Lepiej będzie pośpieszać... zdaje mi się że widziałem błyskawicę — rzekł Tomek.

Ten chłopczyzna ma słuszość! prędkiej śpieszmy, burza nadchodzi! — zawołał sierżant. — W istocie, szczyty górskie odrazu przybrały barwę popielatą i równocześnie wiatr zahuczał.

— Naprzód! naprzód! w dziesięć minut dostaniemy się do klasztoru! — krzyczał sierżant. Czarnulo zdawał się go rozumieć, bo nagle uciał takiego kłusa, że trzeba było biec w cwał, aby mu kroku dotrzymać. Popiół i liście tumanami wlatywały w górę, ale mimo potężnego i coraz silniejszego huku burzy, słyszano wesołe okrzyki mnichów, którzy ujrawszy podróżnych w zapasach z poczynającą się burzą stanęli w drzwiach i witali ich serdecznie. Zanim burza dosięgła szczytu swęj potęgi, już wędrowcy przestępowali próg gościnnego klasztoru i przyjmowani byli otwartemi rękami przez dobrych ojców, którzy od razu zabrali w opiekę ludzi i muła, prowadząc wszystkich razem do niskiej sali.

W chwilę później deszcz lał potokiem, ale podróżni byli bezpieczni. Klasztor San Miguel był to potężny budynek z kamienia, uwieńczony dachem płaskim, który już nie jedną silniejszą burzę przetrwał od obecnej. Podczas gdy Melchior strzepywał kurzwę z odzienia, Dabby Simon z pomocą zakonnika okiełznywał muła, ale przy tej robocie klatka obejmująca małpki, roztworzyła się. Kupiona niedawno od pani Yegua mała *sapażu*, którą Tomek szczególnie się opiekował nawzawszy ją Bibisią, skorzystała ze sposobności i wyszła. Ledwo wyszła, gdy pies klasztorny skoczył na nią i byłby rozdarł biedactwo, gdyby jeden z zakonników zdobył mu nie odebrał. Bibisia oberwała tylko porządne zadrapanie, ale w każdym razie miała o czem szczebiotać po swojemu przez pół godziny.

Deszcz lał przez całą noc, lecz następny poranek za to był śliczny. Przed rozstaniem się z gośćmi, ksiądz opat zaprowadził ich do oddzielnego budynku, aby im pokazać jedną z osobliwości klasztornych. Był to zbiór broni indyjskiej i bóstw, które przypominały Tomkowi to, co widział już w tymże rodzaju w Stanie Guerrero.

Alc co było najszczególniejszego pomiędzy osobliwościami, to wielka klatka z prętów żelaznych, ozdobiona wieżyczkami i chorągiewkami, przez co była podobną do twierdzy, w której mieszkało z tuzin przyswojonych sępów. Zbiegły się do dobrego księdza, gdy wszedł z gośćmi, siadały jemu i im na ramionach i jadły z rąk.

— Nie chciałyś mi sprzedać jednego z tych ptaków, ojczy? — spytał Melchior.

— To przeciw regule — odpowiedziano — jednakże sądzę, że mogę dać ci ich parę, jeżeli Kortina przyrzecze mi parę młodych w to miejsce.

Sierżant ochoczo przystał na to żądanie.

— Czemuż to reguła zabrania sprzedawać sępy?

— Zaraz zobaczysz.

Ksiądz poprowadził natenczas gości do refektarza i pokazał im obraz, przedstawiający niedźwiedzia niosącego w paszczy dziecko.

— Ten obraz wymalowano na pamiątkę zdarzenia, które zaszło przed 50 laty — rzekł. — Pewien szlachcic zwany Yegros, był posiadaczem znacznego folwarku w sąsiedztwie tego klasztoru. Raz, gdy dzieci bawiły się w ogrodzie, niedźwiedź przelazł przez płot i uniósł najmłodsze. Don Yegros pochwycił strzelbę i skoczył w pogoń, ale widząc, że nie dogoni, ukląkł i strzelił, wycelowawszy jak mógł najstarszemu, aby nie zranić dziecka. Strzał był celny, przynajmniej don Yegros tak sądził, bo zwierzę nagle skoczyło w bok, ale gdy on przyszedł w to miejsce znalazł ślady krwi, lecz niedźwiedzicy nie było; uciekła w góry.

Po długich poszukiwaniach, uznano dziecko za zginione i już je opłakano, gdy w tydzień później, dwaj z naszych mnichów powracając z odwiedzin w wiosce indyjskiej, spostrzegli mnóstwo sępów zgromadzonych i latających nad pewnym drzewem w lesie. Poszli więc w tę stronę, i znaleźli szkielet niedźwiedzicy, która raniona tam się przywlokła, a o kilka kroków dalej dziecię don Yegros'a. Małeństwo to przez owe kilka dni umiało wyżywić się poziomkami i malinami leśnymi. Z powodu tego cudownego wydarzenia, ojciec dziecięcia ofiarował klasztorowi San Miguel 50 włók ziemi z pewną sumą pieniędzy prócz tego, z warunkiem, że zakonnicy wychowywać będą dwunastkę sępów przez wdzięczność za to, że te ptaki, latając nad zwłokami niedźwiedzicy, wskazały zakonnikom miejsce, gdzie się znajdowało jego dziecię.

Od czasu swęj ostatniej awantury, Bibisia ulokowała się niby na zimowe leże w kuchni klasztornej, ale gdy wędrowcy zabierali się do drogi, małe złośliwe stworzenie znikło.

— Może jest w podwórzu — powiedział sierżant — nie dziwiłbym się gdyby jeszcze z owym psem miała na pieńku.

Pan Kortina miał słuszność w swoich przypuszczeniach. Pies stał na łańcuchu przy starym murze ogrodowym, a Bibisia uniosła sobie zabawić się jego kosztem. Wskoczywszy na mur d głową psa, wykrzywiła mu się, skrzeczała po swojemu, czy-

niła co tylko mogła, aby go rozgniewać. On szczebał zajadle i skakał na mur, ale łańcuch był zakrótki, aby można było dosięgnąć nieprzyjaciela, a za każdym takim usiłowaniem Bibisia rzucała w psa kamieniem, lub kawałkiem wapna odebranym od muru. Kilkakrotne wołania młodego pana zwróciły uwagę Bibisi, która zrozumiawszy nareszcie, że na nią czekano z odjazdem, skoczyła na przeciwną stronę muru, spodziewając się, że będzie można dojść do pana tamtędy, nie przechodząc napowrót przez podwórze. Pomyliła się jednak, bo doszedłszy do końca muru, znalazła się właśnie w podwórzu, w obec buldoga. Ten ujrzawszy ją cofnął się, stanął poczem z całych sił zebrałszy się do skoku, zerwał łańcuch i rzucił się za małpką jak pantera. Bibisia nie spodziewając się niczego dreptała spokojnie, dopiero na dźwięk łańcucha, wlokącego się za psem, obejrzała się, i... żadne pióro nie potrafi opisać wrzasków przerażenia, z jakimi rzuciła się do ucieczki. Awantura mogła się skończyć tragicznie, bo Tomek podniósł już strzelbę z zamiarem bronięcia swęj Bibisi, ale szczęściem ciężar łańcucha jaki pies włożył za sobą, nie pozwalając mu biedz spiesznie, ocalił małe licho. Gdy buldog dopadł do gromadki wędrowców, małpka weszła już do swęj klatki i ztamtąd z nad grzbietu Czarnuli wykrzywiła mu się znów szkaradnie jak najgorzej wychowany ulicznik.

Melchiorowi tak się dobrze wiodło w Guatamala, że żał mu było opuszczać tę prowincję i jej góry, ale chciał koniecznie dostać niektórych, zwierząt znajdujących się tylko za Równikiem, musiał przeto jechać dalej. Postanowił tedy kapitan odprowadzić niedźwiedziątka i innych swych więźniów, jakich zgromadził od ostatniej swęj wysyłki, nie do Vera Paz jak miał zamiar z początku, lecz do Saint-Thomas, portu morskiego w głębi zatoki Honduras. Ztamtąd okręt powiózł zwierzęta do Vera Kruz, gdy tymczasem pierwszy statek zawiózł Melchiora z jego gromadką do ujścia rzeki Orenoki, z kąd puścić się mieli znowu w podróż.

Żadna z rzek europejskich, nie może dać wyobrażenia o rzekach Ameryki Południowej, pod względem ich szerokości i niezmiernęj masy wody. Orenoka wpada do morza pięćdziesięcioma ujściami, z których siedm są spławne, a z tych głównie odkryte zostało przez Krzysztofa Kolumba.

Gdy on i inni pierwsi podróżnicy płynęli w górę tej rzeki, wspomagał ich w tej podróży wiatr, stale w tych stronach od morza wiejący ze wschodu na zachód. Tenże sam wiatr pomagał i naszym wędrowców także. Gdyby niziny otaczające rzekę nie były tak bardzo błotniste, niepodobnaby znaleźć lepszej miejscowości do polowania. Chmury wodnego ptactwa błędziły na około ław piaszczystych; hipopotamy ryły ziemię w trzcinach nadbrzeżnych, albo wadziły się o kałuże: wydry pokazywały się tu i owdzie.

— Mój wuju! mój wuju! — zawołał raz Tomek, zawsze pilnie śledzący z pomostu okolicę — patrz! jakiś młody człowiek pływa tam w zieleńkach. Cóż za szczególna głowa. Ale nie, to nie mężczyzna, chociaż widzę jego ogromne wąsy, to kobieta, bo dziecko trzyma przed sobą, ona utonie, pewno utonie!

— Nie bój się — rzekł uśmiechając się Melchior — to ani mężczyzna, ani kobieta, to rodzaj wieloryba, zwierzę ssący, podobny istotnie niejako do człowieka, a to z powodu że ma zwyczaj trzymać się w wodzie prosto, i że głowa jego podobna jest zdaleka do ludzkiej. Te to może stworzenia dały niegdyś pochod do bajek o syrenie, w pół kobiecie w pół rybce. Niektóre z tych zwierząt mają do sześciu metrów długości. Znajdują się szczególnie w rzekach: Orenoce i Amazonce. Żywią się porostami morskimi na ich wybrzeżach. Gdyby woda była płytsza, ujrzałbyś ich więcej, bo wtedy płyną z falami gromadnie w dół rzeki, aby znaleźć żywność i wtedy też najłatwiej się poławiają. Spodziewam się, że i nam uda się ułowić ich parę.

— Och, dostaniecie tych zwierząt ile zechcecie w Venueza, i takich i innych, Europejczycy zwykle się niemi zdumiewają — rzekł sternik Indyanin krajowiec.

Sam ten sternik był także osobliwością. Włosy tworzyły mu nad czołem niby dyadem, i miał naokoło głowy mnóstwo

ZAGADKA.

ułożył Dąb Sosnowiecki.

Pierwsza w Meksyku, Mińsku, Mohilowie,
 Drugą ma prawda, nie masz jej w słowie,
 A trzecią znajdziesz w Dniestrze, Dunaju,
 Czwartą masz w kwietniu a nie ma jej w maju
 Józef ma piątą, a niema jej Kraków,
 Do sosu wchodzi szósta, nie wchodzi do raków.
 A siódma zawsze w Kijowie przebywa
 Ósmą ma Janas, u ary nie bywa.
 Wszystko nazwisko stanowi moje,
 Kto je odgadnie, niech napisze swoje.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

Niezabudka z nad Chomoru.

Z następujących zgłosek: Mo — ra — re — berg — na —
 chen — ger — a — la — re — dziadz — a — e — i — ru — gru — ro —
 — ty. — Ułożyć wyrazy: 1. Owoc. 2. Imię biblijne.
 3. Nabożeństwo adwentowe. 4. Miasto przy ujściu Ossy do
 Wisły. 5. Imię żeńskie. 6. Warownia gdzie zginął Wallenstein.
 7. Miasto w Austrii zamieszkałe przez sukienników. Począ-
 tkowe litery z góry na dół a końcowe z dołu do góry tworzą
 dwa poemata Syrokomli i Mickiewicza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Zadania konikowego:

Obca dla mnie z bogactw pycha,
 Ni o szat mych stoję chwałę;
 Szczupła trzoda, chatka cicha,
 To są moje skarby całe.
 Mała chatka, ale własna,
 Lepsza niżli gmachy cudze.
 U stóp góry woda jasna,
 W słońcu kwiatem brzęczy strudze.

A. E. Odyniec.

Z a g a d k i:

Praca — raca.

Trzeci zeszyt tomu I-go **Wielkiej Encyklopedyi Powszechniej ilustrowanej** wyszedł z druku. Wyszedł również 5-ty zeszyt **Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach**, wydawanych pod kierunkiem A. Dygasińskiego, nakładem A. J. Wiśniakowskiego.

(d. c. n.)

ozdób i cacek, jak lekarze w jego kraju. Waż przyswojony nie odstępował go zajmując na kwatery główną, jeden rękaw jego koszuli. Stworzenie to miało barwę czerwono-burą z pierścieniami i plamami pomarańczowemi; a czarna linia zygakiem przebiegała jego grzbiet w całej długości. Indyjanin zdawał się dbać bardzo o niego, bo za nic nie chciał go się pozbyć, jakkolwiek Melchior ofiarował mu zań ogromną sunę; a co do węża, ten zdawał się także mocno przywiązany do pana. Okrecał mu się na szyi ruchami tak zręcznymi i miękkimi, że można było mniemać iż go chciał popieścić w ten sposób. Łuska jego złotawej i brązowej barwy mieniła się wtedy w tak pyszne odbłaski, że Tomek, który z początku nie mógł patrzeć bez wstrętu na to zwierzę, potem spoglądał na nie z uwielbieniem.

W pobliżu Portu-Gabriel brzegi Orenoki wznoszą się i tworzą skały urwiste i grunt jest tam dostatecznie stały dla pieszych; roślinność wszędzie jest wspaniała. Najogromniejsze drzewa są tak całkowicie owite dzikim winem i lianami, że nie podobna jest oznaczyć dokładnie, które liście i które kwiaty do czego należą. Palmy tylko same jedne wznoszą się ponad sąsiadów, jak dzwonnice lub wieże wśród domostw, chwytając zlekka głowami przystrojonymi długim liściem, o delikatnych wycięciach.

Dzieci po większej części nosiły na głowie strój jakiś, którego Melchior brał za kapelusz słomiany pomalowany na zielono, rozpoznał jednak, że było to z jednej sztuki, zrobione w kształcie rogu z kwiatu drzewa tulipanowego, jednego z najpiękniejszych drzew amerykańskich i które pod tą szerokością przybiera nadzwyczajne rozmiary.

Jedyną oberżę w Port-Gabriel utrzymywał biały człowiek zamieszkujący w tem miejscu. Wiedząc cel podróży Melchiora, dostarczył mu przewodnika, którego był pewnym i który mógł go zaprowadzić aż do granicy zachodniej, Wenezueli.

Chłopak ten mieszał język hiszpański ze swym narodowym, jednakże łatwo można go było zrozumieć; zdawał się też znać doskonale na rzemiosło przewodnika, do czego się zobowiązał, a to była rzecz główna. Wskazując palcem lasy, a potem przybory myśliwskie podróżnych, dał im do zrozumienia, że pomoże im napełniać klatki ptakami i zwierzętami.

Nie zabrakło też psów. Pełno ich wałęsało się w Port-Gabriel, i gdy kapitan udał się w podróż nazajutrz rano, ze dwanaście ich biegło za nim, skacząc i naszczekując radośnie, ale Dabby Simon wszystkich odegnał, z wyjątkiem jednego charta długo-nogiego z gatunku który służy Indyjanom do polowania na pantery.

Przebiegłszy około sześciu mil, podróżni przybyli nad brzeg potoku, którego można było przebyć albo po moście z lianów, albo brodem utworzonym z pni drzew pogrążonych w wodzie, po których jednakże muł przejść potrafił bez niebezpieczeństwa. Psy tworzyły straż przednią. Co do charta, ten nie dbając ani o most, ani o bród przerzucił się jednym potężnym skokiem z jednego brzegu na drugi, ale Kasztan nie był równie lekkim i wprawnym, jednakże chcąc okazać koledze, że ma także talenta w swoim rodzaju, zabierał się przebyć potok wpływ; ale za ledwo wszedł w wodę, już odskoczył w tył jęcząc przeraźliwie i biegł wzdłuż rzeczki, szczekając a nie mogąc odważyć się na drugą próbę.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Starożytny narodowy taniec indyjski (z drzew.) — Z wyspy Atlanty p. Zofię Urbanowską. — Antwerpia, katedra i pomnik Rubensa. — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Czytanie, wierszyk (z drzew.) — Zegar z kukułką p. Annę Załęską (z drzew.) — Pamiętnik ołówka. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzyznka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

CZYTANIE.



daś dobrze się uczył, ale lubił
[bardzo
Pochwały, choć uczeni pochwa-
[łami gardzą,
Lubił kiedy mówiono: „Ten Adaś
[choć mały
Książki z rąk nie wypuszczał...
[chłopczyk wart pochwały.
Wtem raz, patrzy Adalek... aż
[babci papuga

Trzyma książkę, odwraca w niej karty i mruga...
Adaś się bardzo zdziwił, myślał nad tem długo,
Aż pojął że czytanie nie jest dlań zasługą,
Bo nie ten wart pochwały, rzecz jest oczywista,
Kto czyta, lecz kto z książek czytanych korzysta.

ZEGAR Z KUKUŁKĄ.



Mamo, czy ta kukuł-
ka w zegarze jest żywa
— pytała sześćioletnia
Józia, stojąc przed du-
żym zegarem, wiszącym
na ścianie w jadalnym
pokoju.

— Tyle razy już ci
mówiłam, córeczko, że
nie. Ona jest zrobiona
z blachy, a wysuwa się
za pomocą maszynki,
umieszczonej w dachu
tego drewnianego dom-
ku.

— To dla czego ona
się rusza, kiedy nie jest
żywa? Jakże ona może
się ruszać?

— Znowu wszystko zapomniałaś, a już parę razy
tłómaczyłam ci, w jaki sposób to zrobione.

— Bardzo to jest dziwny sposób — rzekła Józia
trzęsąc główką z powątpiewaniem — i trudno mi uwie-
rzyć, że mama się nie myli. Ona z pewnością żywa,
przecież rusza się i kuka tak głośno i często. Mamo,
kiedy kukułka wyjdzie znów ze swego domku?

— Jak duża wskazówka będzie u samej góry, a ma-
ła z prawego boku kąć prosty utworzy. Szkoda Józiu,
że jeszcze godzin rozpoznawać nie umiesz, choć tyle razy
pokazywałam ci, jak na zegar patrzeć.

— Ach, kiedy to tak trudno. Wszystkie kreski są
jednakowe, rozróżnić ich nie umiem, a wskazówki z pe-
wnością się same nie ruszają. Już ja się tam nigdy czy-
tać godzin nie nauczę.

— Nauczysz się, nawet niedługo, bo na tym dużym
zegarze będzie ci łatwiej zrozumieć. Zresztą kukułka ci
dopomoże.

— A widzisz mamo, że ona żywa, sama mi to po-
wiedziałaś, bo kiedy mogła by mi do nauki pomóc, to
chyba musi już być żywą.

— Uparta jesteś, Józiu, i niegrzeczna, kiedy nie
chcesz wierzyć temu, co ci mama mówi. Lecz teraz uwa-
żaj, bo za chwilę kukułka wyskoczy.

Józia przysunęła się do matki, objęła ją obiema
rączkami, wzrok jej utkwiał w małych drzwiczkach, umie-
szczonych nad zegarem, a w twarzączce malował się
niepokój i wielkie zaciekawienie. Nagle drzwiczki się
otwarły, wysunęła się przez nie drobna ptaszyna i rozle-
gło się trzykrotnie: ku-ku, ku-ku, ku-ku.

Józia słuchała z otwartą buzią; choć ptaszek scho-
wał się dawno, ona w milczeniu patrzyła jeszcze na zam-
knięte drzwiczki i miała łzy w oczach. Po chwili rzekła:
— Mamo, kukułka głodna, dajmy jej co jeść, moja ko-
chana. Słyszałaś jak smutno kukała?

— Co za dzieciństwo. Przecież ci mówię że to
maszynka bez życia, która naśladuje żywe stworzenie.
Gdyby była żywa, dawno już umarłaby z głodu, bo od
trzech dni jest tutaj, a nikt jej nie karmi.

— Ej mamo, bo mnie bardzo żal było biednej ku-
kulki i co wieczór trochę siemienia i spodeczek mleka
zostawiałam jej tu na stole.

— I myślisz, że ona to zjadała? — rzekła mama.

— Naturalnie, przecież rano nigdy już mleka na
spodeczku nie było.

— Otóż mylisz się, moje dziecko, nawet żywe ku-
kulki mleka nie piją. Myszki zjadały siemię, a mleko
wypijał twój Burek, próżniak, który śpi przy piecu
i wstaje tylko aby zjeść, co mu przygotujesz. Będę
chciała córeczko, później ci przekonać, że to co mówię
jest zawsze prawdą. Teraz muszę wyjść z domu, ty zo-
stań i baw się tu spokojnie.— Józia siadła naprzeciw zega-
ra; nie myślała o żadnej zabawie, tylko wpatrywała się
w niego uważnie. W ciasnej jej główce pomieścić się
nie mogło, żeby ta tak głośno odzywająca się ptaszyna,
ze skrzydłami tak podobnymi do skrzydełek fruują-
cych w ogrodzie ptaszków, mogła się obchodzić bez po-
żywienia. Spokoju także nie dawała jej myśl, że to bie-
dactwo uwięzione w ciemnym swem mieszkanku, smutne
życie tam pędzi i nie używa swobody, każdemu stworze-
niu do szczęścia potrzebnej.

Więc chociaż nieraz doświadczyła, że wszystko, co
od mamy słyszała, było zupełną prawdą, teraz uparta
dziewczynka nie wierzyła jej słowom i postanowiła bie-
dnej kukułce przyjść z pomocą.

Przyniosła więc kawałeczek cukru, trochę okruszyn
z chleba, i ustawiwszy te zapasy w miejscu bardzo wi-
docznym, dech prawie wstrzymując, zaczęła się przypa-
trywać wskazówkom zegara.

Spostrzegła teraz, że choć powoli i nieznacznie po-
suwają się ciągle naprzód; zapamiętała też poraż pierw-
szy uwagę matki, że zegar bije, gdy dłuższa wskazówka,

jest u samej góry, tam gdzie cyfra dwanaście stoi wypisana.

Wtem drzwiczki otworzyły się, kukułka czwartą godzinę wydzwoniła, lecz potem, nietylko że do jedzenia nie przyfrunęła, ale nawet nie spojrzawszy się w tę stronę, cofnęła się do swjej ponurzej kryjówki.

— Ona się boi! ach, biedna ona! — pomyślała Józia — boi się, żebym ja jej krzywdy jakiej nie wyrządziła, bo nie wie, że ja ją bardzo kocham. Trzeba koniecznie wynaleźć inny sposób nakarmienia jej. Ach żeby się tam dostać — mówiła po chwili zamyślona — sama bym jej do dziobka włożyła kawałeczek cukru. Ale to tak wysoko!

Józia na stole postawiła krzeselko, wdrapała się na nie i wyciągnawszy rączkę z kawałeczkiem cukru, czekała jeszcze dość długo. Już nogi jej ścierpły i ręka zemdląła, gdy wtem lekkie skrzyknięcie oznajmiło jej o otwarzeniu się drzwiczek; kukułka wysunęła się naprzód, a z równą szybkością ręka Józii wsunęła się z cukrem do ptaszka i potrafiła drzwiczki.

Widocznie mechanizm zegara nie był przygotowany do podobnego zdarzenia, bo kukułka, jakby spłoszona zniknąć zaczęła w swem mieszkaniu, a raptownie zaciskające się drzwiczki, przycisnęły wraz z cukrem paluszki Józii. Szczęście wielkie, że sprężyna nie była dość mocna, żeby go zmiażdżyć zupełnie, ale i przymknięcie sprawiło ból okropny. Józia chciała nadaremnie rękę wyswobodzić; szarpaniem wzmagająca tylko cierpienie.

— Może już wcale ręki wyjąć nie będzie można, może trzeba będzie ją uciąć! to byłoby okropne! — myślała Józia modląc się, przeproszała Boga i mamę, obiecując poprawę, byleby się wszystko dobrze skończyło!

Na szczęście, mama niedługo wróciła. Zmartwiła się, zastawszy Józję w tak nieprzyjemnem położeniu i uwolniła natychmiast jej zsiniałą rękę. Mama nie gniewała się nawet bardzo, widząc żal i ból Józii, ale smutnym następstwem jej niedowiarstwa, była, zepsuta w zegarze sprężyna; kukułka odtąd wyskakiwać przestała, a Józia ku wielkiemu swemu zmartwieniu, mogła się jej teraz dobrze przypatrzeć i przekonać, że była tylko kawałkiem pomalowanej blachy.

A. Z.

PAMIĘTNIK OŁÓWKA.

(Dalszy ciąg.)

— Ale ja przekonany jestem że ty nie jesteś tak dziecinnie próżny, mój chłopcze — odpowiedział wuj pieszczotliwie.

— Ale kto to mógł napisać? to nikt tylko Zosia! — domyślał się Staś.

— Ale cóż znowu, czy nie słyszysz jak Zosia szyje i śpiewa! — odparła mama. — Zosia aż usta obu rączkami na chwilę zastłoniła, żeby głośny śmiech powstrzymać, ale natychmiast wyśpiewywała dalej, głośniejsze jeszcze, turkocząc maszyną do szycia:

Leci śliczny gołąbeczek
Nad bory nad stawy,
Zieleni się ogródeczek,
W nim domek białawy.

Przyleć, przyleć gołąbeczku
Do domku w ogródku,
Przynies dla tych po listeczku
Co tu tęsknią w smutku.

Wzleciał w piątek ponad Prosnę
Nad Wisłę w niedzielę,
Zmieniła się zima w wiosnę
I smutek w wesele!

— Ho, ho, już my się znamy na Zosinych figielkach — ozwał się znowu głos wuja. — To żaden dowód że szyje i śpiewa.

— Proszę wuja, to trzeba koniecznie sprawdzić, kto sobie tak żartuje ze mnie! — prosił Staś.

— Dobrze chłopcze! — drzwi otworzyły się nagle i wuj ze Stasiem weszli do pokoju Zosi, mama stanęła w progu.

— Zosiu, czy to ty przylepiłaś na drzwiach Stasia pismo, wyszydające zdolności jego do rysunku? — spytał wuj zupełnie seryo.

— Co? jak? Co wujaszek mówi? — spytała nawzajem Zosia, pilnie coś poprawiając w maszynie.

— Ależ ona o niczem nie wie! — rzekł wuj.

— Zosiu, a gdzie mój ołówek? ołówek Fabera? — zawołał Staś, i przybiegłszy do niej i usiłując zajrzeć jej w oczy. Ale ona trzymała nosek tuż przy maszynie, coś naprawiając ciągle, bo wiedziała, że gdy spojrzysz Stasiowi w oczy, to wszystko się wyda, więc mówiła:

— Jaki ołówek?

— Ależ ona wyraźnie, nie chce odpowiadać wprost na pytania! W tem coś jest! — zauważył wuj. A Staś rzuciwszy okiem na stół, pochwyił pudełko z piórami i ołówkami, roztworzył i wyjmując mię, zawołał z tryumfem:

— Oto dowód kto to zrobił! Oto mój Faber!

— Panno Zosiu! Co to znaczy? — spytał wuj. — Ale Zosi już nie było, schowała się za mamę i śmiała się skrywszy w jej suknię. Mama śmiała się także, a Staś tymczasem odnosił mię do swego pokoju, głośno sobie przyrzekając, że ani jednego figla Zosi odtąd nie daruje, wszystko odda wet za wet, bo to już nadto tego i na cierpliwszemu cierpliwości zbraknie. Jakoż zaraz następnego dnia, gdy Zosia grała z nauczycielką na fortepianie w salonie, Staś, przestał rysować i niepuszczając mię z ręki pobiegł cicho do jej pokoju, schwycił dziennik w którym nauczyciele zapisywali postępy nauki i wszędzie gdzie były czwórki z krzyżem, powycierał gumą a ponapisywał jedynki i uciekł. Potem rysując w naszym, to jest w Stasia pokoju, oba nasłuchywaliśmy. Niezadługo też, w sąsiednim Zosinym pokoju, zabrzmiał głos zdziwiony którejs nauczycielki:

— Jaktó Zosiu, to ty takie fatalne wczoraj miałeś stopnie? Chwilę trwało milczenie, zapewne Zosia ogłodała dziennik, a potem rozległ się na wpół płacziwy głosik:

— To nikt tylko Staś musiał to zrobić! widzi pani że tu wszędzie znać wycieranie gumą... a potem dopiero napisano te pałki! Wuju! mamó! patrzcie jak mi Staś zepsuł dziennik! O! nie puszcę pani z takim o mnie wyobrażeniem, ta sprawa wyjaśnić się musi! Ja w życiu mojem nie miałam takiego dziennika!—Nagle otwarły się drzwi naszego pokoju, mama, wuj, nauczycielka, stali w nich, Zosia zarumieniona jak wiśnia przyskoczyła do nas z dziennikiem w ręku, ze łzami w oczach:

— Stasiu, jak mogłeś tak mi dziennik zepsuć? To już nie żart, to złośliwość! to okropność!

— Co? Co takiego? Co się stało? — spytał Staś.

— O! znam ja się na tem! Obiecałeś mi wczoraj wet za wet! Ale ja dowieść prawdy potrafię! — zawołała Zosia i pędem wybiegłszy, wróciła za chwilę ze swoim pudełkiem od piór i ołówków, i wskazując na takie samo stojące na stole Stasia, zawołała:

— Proszę państwa sprawdzić, którym z tych ołówków nakreślone są te pałki! Ja widzę że nakreślił je miękki ołówek od rysowania i to wysokiego numeru, tak zwany ołówek firmy Fabera, a takie są tylko u Stasia!

Zatem wszyscy starsi państwo próbowali różnych ołówków i mnie, a potem wyrzekli jednogłośnie.

— Tak, to napisał tylko ołówek firmy Fabera! Stasiu! Jak możesz tak dokuczać siostrze?... — Ale Stasia nie było, albo raczej on sam tylko pewien był że go nie było, bo skrywszy się w kąt za szafę, zakrył oczy czapką, myśląc że nie będzie widziany, ponieważ sam nikogo nie widzi. Natenczas się z niego głośno śmiać zaczęli, przypominając mu, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. A Zosia stanąwszy przed Stasiem i skrobiąc marchewkę na paluszku, mówiła mu:

— A gzy, gzy, gzy, panie Stanisławie, czyje na wierzchu?—Natenczas przyprowadzony do ostafeczności Staś, cisnął czapkę, schwycił mnie, i wołając:

— O ty! zdrajco!... któryś wydał tajemnicę moję i świadczył przeciwko mnie, precz z moich oczu! giń!... — rzucił mię w ogień kominkowy, wprzód zanim zrozumieć mogłem co się dzieje. Skwierknąłem boleśnie, bo mię sparzyło okrutnie, a mama rzekła:

— To nie dobrze Stasiu! Jeżeli masz żal do ołówka i chcesz aby poszedł precz z twoich oczu, to można go było darować któremu z dzieci na podwórzu. — Ledwo wymówiła te słowa, już Staś wydobył mię z ognia szczypcami, otarł starannie i otworzywszy lufcik zawołał:

— Kto chce ołówka?...

— Ja ja ja! — zakrzyczało mnóstwo cienkich głosików i cała gromadka dzieci podbiegła do okna, wyciągając do góry ręce i nadstawiając poły, kapelusze i fartuszki, spódniczki nawet. Staś zamierzał się kilka razy, niby rzucając mię, za każdym razem powstawał za oknem gwar nie do opisania, nareszcie rzucił naprawdę, i przemknąwszy chwilę przez powietrze, wśród ogłuszającej wrzawy, szarpany na wszystkie strony, znalazłem się w rękach mocniejszego od innych malca. Smutno mi się zrobiło okropnie, bo pokochałem bardzo Stasia i Zosię i polubiłem ich figielki, z moją wyprawianą pomocą, które zawsze kończyły się na śmiechu, bo naprawdę nie dokuczały nikomu. Lubiłem także lekcye, w których bywałem świadkiem. W czasie jednej z ta-

kich to lekcji dowiedziałem się nawet różnych szczegółów z mego własnego rodowodu, gdy Staś wypowiadał na żądanie nauczyciela:

— Grafit, tak zwany z greckiego, jest wykopywany z ziemi, ma barwę prawie szaro-czarną, po wypolerowaniu ma blask metaliczny; jeżeli jest czysty, nie zmieszany z innem ciałem kopalnem, daje się krajać a proszek jego delikatny czerni palce w dotknięciu. Pod względem składu chemicznego jest to węgiel, zmieszany z ciałami ziemistymi lub żelazistymi; znajduje się w tak zwanych formacjach pierwotnych, tworząc niekiedy znaczne pokłady i skały odosobnione, we Francyi, Morawii, Bawaryi, Piemencie, Austrii, Hiszpanii. Można też otrzymać grafit sztucznie, topiąc surowiec czyli żelazo lane, z wielką ilością węgla. Używa się do różnych celów, a także i na ołówki; zmieszany z tłustością tworzy smarowidło do kół zębatach i do ochrony żelaza od rdzy...

(d. c. n.)

SZARADA.

Dla Niezapominajki z nad Warty i Brzdydotki z nad Tamizy od Lit. z nad Sz.

Pierwsze jako wykrzyknik używacie,
Na drugim i trzecim siadacie,
Wszystko: miasto i rzeka która płynie,
W naszej niegdyś krainie.

Łamigłówka liczbowa.

Legendy.

Z 13 liter składa się imię i nazwisko poety już nieżyjącego. Przystawiając litery otrzymamy:

- 1, 2, 3. Rzeka. *nan Boh*
3, 5, 6. Wódz tatarski. *nan*
4, 2, 6. Rzeka. *don*
6, 5, 4. Przyimek.
9, 8, 11. Zbiór drzew.
9, 10, 12, 13. Lekarstwa.
1, 2, 9, 10. Cierpienia.
7, 8. Przyimek.
9, 8, 11, 12, 5. Podpora.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Szarady:

G o ł ą b k a.

Trójkąta geograficznego:

K a p s k i e
A n k o n a
P a r y ż
S a w a
K u r
I n
E

Skrzynka do listów.

Do wszystkich ponawiamy prośbę, aby w listach swych do nas wymieniali oprócz nazwiska i adres dokładny, bo bez tego mogą się obejść tylko liściki do druku przeznaczone, wszelkich zaś innych korespondencji podpisanych pseudonymem, uwzględnić nie możemy, a nawet czytać nie mamy czasu.

Dziesięcioletniemu czytelnikowi L. A. R. Niestety! korespondencje pańienek z pańienkami i chłopczyków z chłopczkami tyle już zabierają miejsca w Wieczorach, że je nam pomieścić coraz trudniej, cóżby było, gdyby dodać do nich jeszcze trzeci szereg listów od chłopczyków do pańienek i odwrotnie! Wtedy już musielibyśmy chyba dawać więcej druku i papieru, co nam uczynić niepodobna i co zresztą uważamy za zbyt techniczne, gdyż korespondencje podobne nie byłyby wcale zajmujące, ponieważ inne są zupełnie usposobienia, zabawy, nauki i wszelkie nawet zajęcia chłopczyków jak dziewczynek, więc nie mieliby nic ciekawego do powiedzenia sobie wzajemnie.

Malutką parkę kaligrafów: Iskierkę i Kłoska Podolskiego całujemy serdecznie. Ta parka, co we dwoje szesnastu lat nie ma jeszcze, pisze tak starannie, że nie jednych szesnastoletnich zawstydzili by mogła, co jest dowodem (jak po staremu mniemano) uszanowanie dla osób, do których się pisze. A że to takie malutkie paluszki tak umiejętnie władają piórem, jakżeż tu nie miłować właścicieli tych paluszków?

Filozofie kochany, (eks Neptunie), dla czegożby ci sami „chłopcy”, w imieniu których dopominasz się o konkurs, nie mogli należeć do konkursów dotychczas ogłaszanych? Nigdy przecie nie zastrzegamy, że są one dla dziewczynek wyłącznie.

Trawce z nad Tryby żądany numer posłano, liścik w swoim czasie wydrukujemy. Bardzo nam miło, że ta Trawka z wiosną zazieleniła się dla nas.

I ciebie byłoby nam miło widzieć, droga **Cyganeczko z nad Wisły**; mamy nadzieję, że dotrzymasz obietnicy.

Na listy wasze, **Sikorko** nie odpowiada żadna z dwóch wymienionych przez ciebie osób, ale ta, która nigdy korespondentek swoich nie nazywa „dokuczliwemi”.

Liścik powierzony opiece **Gołąbki**, jeżeli tylko ją doszedł, nie zaginie, tego możesz być pewną, **Stokrotko z nad Stochodu**.

Ottonowi B. oraz **Henryce Izb.** żądany dodatek posłano.

Sokół z Miceny otrzymał już także żądany numer.

Marynie z pod Garwolina w zamian za życzenia świąt wesołych, przesyłamy życzenia zdrowia i uścisk na podziękowanie.

Takich sam należy się i **Burzliwej Naturze**, która jednak umie być, jak widzimy i serdeczną naturą.

Rajskie Jabłuszko przysłało nam kwiatek, który powiedział wszystko co mu kazano. Od siebie przesyłamy za to Jabłuszku prośbę, aby rozumieć chciało, że ramy naszego pisemka są szczupłe i że wiele innych rzeczy musi mieć pierwszeństwo przed Skrzynką do listów i tak już czasem za obszerną.

Niezabudce z nad Chomoru żyły, nie tylko Świąt wesołych, ale i błogosławieństwa Bożego, biedne dzieci, o których cichy ten kwiatek pamiętał.

Rumianemu Jabłuszku wszyscy obdarzeni fiołkami dziękują za kwiaty, a więcej jeszcze za pamięć serca, poczciwie pamiętającego o zrobieniu przyjemności drugim.

Lucio des E. nadesłał dobre rozwiązanie, **Gospodarz** łamiągłówek, która (jeżeli się okaże dobrą) czekać musi na swoją kolej, a **Orzeł** także łamiągłówek, której nie opatrzył rozwiązaniem i dla tego drukowaną być nie może.

Pani Kons. Tur. Adres do Kijowa został nam przysłany pocztą. Opłatę odbraliśmy tylko za kwartał I-szy na żądanie jednak posyłamy pismo bez żadnej przerwy podług ostatnio wskazanego adresu.

Kochana **Kapłanko Znicza!** Bardzo mi się podobasz i chciałabym z tobą korespondować. Zdaje mi się, że ci na imię Antosia K., czy zgadłam? Ja jestem jedynaczką, uczę się w domu, na imię mi Zosia. Całuję cię i proszę o rychłą odpowiedź. *Pieszczotka.*

Kochana **Cygancko z nad Wisły!** Czy dawno jak pisujesz do „Wieczorów”? Ja dopiero od kilku miesięcy. Bardzo mi się podobasz. Nazywam się Zosia i uczę się w domu. Donieś mi jak się nazywasz i ile masz lat, prosi o to *Pieszczotka.*

Kochana **Jutrzenko!** Mieszkam gdzie i ty, uczę się muzyki i różnych nauk, z których najlepiej lubię historię powszechną. Cieszę się, żeś do mnie napisała i proszę cię donieś mi co o sobie. Mieszkając w jednym mieście może z czasem poznamy się. Całuję cię serdecznie. *Wesoła Krakowianka.*

Dziękuję wam wszystkim, drogie siostrzyczki za wasze liściki. Najpierw tobie kochana **Jaskółeczko z nad Sekwany**, za uściśnienia przesyłam milion całusów. Trudne zadałaś mi pytanie, droga **Różyeczko z Wołynia**, wszystkie bowiem nauki lubię, ale najlepiej chyba... fizykę. Dziękuję ci miła **Różyeczko Jerychońska** za twój liścik. Proszę donieś mi co o sobie. Czy ci się podobała nowelka „Było ich trzy”? mnie bardzo. Oj! mój leniuszku Zosiu w Bis., czyż nie zbierzesz się napisać nigdy do „Wieczorów”? Obierz sobie jaki pseudonym i pisuj, gdyż jak się zobaczymy w Chotiaczewie, to będzie ci wstyd. Krynico droga, czy zapomniałaś o naszym pisemku, że się do niego nie odezwiesz? Ścisła was wszystkie i prosi o odpowiedź *Światelko.*

Serdeczna nasza **Ako!** Bardzo mi jest miłym twój pseudonym, bo mój ukochany, półtoraroczny braciszek tak nazywa starszą naszą siostrę **Hanię**. Ciekawą jestem czemu go sobie obrałaś? Czy **A. K.** nie są pierwszmi literami twego imienia i nazwiska? Pisujemy do siebie; mam lat 12, nazywam się **Fila (Filomena)** jestem blondynka i mam oczy czarne, mieszkam na Wołyniu. Ciebie o takie same wiadomości proszę. *Kwiat Paproci.*

Kochana **Mgło!** Szczegóły zamieszczone w twoim liściku odnoszą się do **Gloksyni**, którą znam dobrze, a ciebie troszkę z jej opowiadania. Siostra **Gloksyni** ma pseudonym „**Radomianka**”. Jestem twoją imienniczką, może będziemy z sobą korespondowały. Całuję cię; *Mmoza.*

Rad jestem, kochany **Skanderbegu**, czyli **Iskander Beju**, że cię zajęło moje opowiadanie. Jest ono tylko wiernem powtórzeniem tego, co słyszałem od naszego poczciwego **Islandczyka**. Niestety od czasu jak od nas odjechał, nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Powiedz mi co lubisz najwięcej? Ja jeździć z ojcem sankami na polowanie. Twój *Soból Irkucki.*

Kochana **Goryczko!** Z chęcią będę korespondować z tobą, bardzo mi się podobasz z opowiadania mojej nauczycielki. Mieszkam we **Skwirze** i bardzo bym chciała z tobą się zobaczyć. Nazywam się **Janinka** i mam troje rodzeństwa. Całuję cię serdecznie. Twoje *Rajskie Jabłuszko.*

Czarną **Perelkę** i **Polną różyczkę** pozdrawiam i proszę żebyś mi co o nich doniosła.

Kochana **Makolągwo!** Czy i tobie tak jak i mnie podoba się w Wieczorach życiorys **Alfonsa XIII-go**, bo ja zachwycona jestem jego historią. Czyś tańczyła w karnawale? Ja uczę się tańczyć, więc byłam na kilku wieczorkach dziecińczych. Zgadnij kto jestem i odpisz twój *Różyeczko Chińskię.*

P. S. Konwalijce z nad Warty zasyłam uściśnienia i zapytuję czemu do mnie nie pisze?

Kochana **czarnooka z Puszczy!** Mam lat 12, dwie siostry i uczę się w domu. Donieś jak ci na imię? wiele masz lat i rodzeństwa? gdzie się uczysz? Jak ci się podoba „**Szesnastoletni wojewoda**”? bo mnie bardzo. Całuję cię serdecznie *Burzliwa Natura.*

Drogi moje: **Jedlinko**, **Westalko**, **Ciociu Figo**, **Gwiazdko** nadziei i **Jaskółko z nad Ussy!** Jedlinko kochana i ja cię polubiłam, pisujemy do siebie, czy zgoda? Nazywam się **Janinka**, mam lat 14. **Westalko** luba, mieszkamy na Litwie i rzadko bywamy w Warszawie, **Cyganeczko** i ciebie uważam za dobre dawne znajome. **Ciociu Figo**, młodsza moja siostra nosi pseudonym **Chmurki złocistej**, ja też żałuję, że was nie poznałam. **Gwiazdko** nadziei moja milutka, pisałam już raz do ciebie, lecz ten list zaginął. Gdzie mieszkasz? Straciłyśmy nadzieję zobaczenia cię kiedy, moja droga **Jaskółko**, czy „**Strzała**” już nie wychodzi? Ścisłam was wszystkie serdecznie, życzliwa *Topolka srebrna.*